

Wszystko przez przypadek

Czuje się pan ikoną polskiej archeologii?

Ikoną? Może raczej zabytkiem?! Kiedy zaczynałem pracę, wszystko działo się w zupełnie innej atmosferze – tego dzisiaj nie da się chyba łatwo zrozumieć: pracowaliśmy na zasadzie zrywu, poczucia odpowiedzialności, nie bacząc na finanse, bez umów, kontraktów, bez łączności i tak dalej. Entuzjazm. Kiedy w czasach PRL-u człowiek wyjeżdżał za granicę – to już było jakieś uprzywilejowanie. Młodzi dzisiaj tego nie rozumieją, nie mogą rozumieć, że paszport był przywilejem, że wolność była przywilejem, a nie prawem. Właściwie można by się zastanawiać, czy „ikony” archeologii nie wyglądają dzisiaj na frajerów, a nie ikony! Cieszyliśmy się małymi rzeczami, robiliśmy wszystko prawie za darmo i czasem nie wiadomo po co.

Po co – to raczej wiadomo...

Dzisiaj patrzy się na to inaczej, dzisiaj ktoś może powiedzieć: mogli iść i pracować za dolary. Już się z tego rodzaju zdaniem spotkałem. Wprawdzie przy okazji dyskusji na inne tematy, ale jednak...

Panie Profesorze... Książki są! Jest wiedza, jest nubiologia jako nauka!

No, oczywiście, nie trzeba mnie przekonywać. Żartowałem, to była taka mała prowokacja na początek tej rozmowy. Ale faktem jest, że ten najważniejszy okres – odkopywanie Faras – był oparty na entuzjazmie, zapale i improwizacji.

Do ekipy profesora Michałowskiego i do Pachoras, czyli Faras, trafił pan jako młodzieniec, tuż po studiach. Skąd u pana wzięło się zainteresowanie archeologią, egiptologią, hieroglifami, starożytnymi językami?

Właściwie nie wiem. Moja rodzina miała zupełnie inny „profil”: mama była pierwszą kobietą, która wywalczyła sobie prawo studiowania na SGGW. Była jedną z czterech pierwszych kobiet na tej uczelni. Została wykwalifikowaną agronomką,

rolniczką. Ojciec – genialny mechanik, inżynier po studiach u Wawelberga¹, konstruktor, właściwie inżynier silników samochodowych. Całe życie pracował w szkolnictwie. Wciąż jednak dokonywał różnych wynalazków, choć nie we właściwym czasie... Albo za wcześnie, albo za późno. Przed wojną, proszę sobie wyobrazić, wynalazł silnik o tłoku obracającym się wewnątrz cylindra – czyli silnik Wankla. Tyle że wymyślił go przed Feliksem Wanklem. Nie opatentował tego wynalazku. Na naszej wsi zakładał elektrownie wiatrowe, opracował hydrauliczną skrzynię biegów, tylko że trochę za późno... Nie zdążył dokończyć, nie zdążył ubiegać się o patenty, bo w 1939 roku wzięli go do wojska i poszedł walczyć w kampanii wrześniowej.

Pański dziadek ze strony mamy był przedwojennym posłem na Sejm, spółdzielcą, ważną postacią życia społecznego².

Znałem go. Bardzo skromny człowiek. O tym, że był posłem, dowiedziałem się właściwie po jego śmierci. Z zawodu aptekarz, skończył studia w Dorpacie³, był społecznikiem i – niestety – w najmniejszym stopniu rolnikiem czy ziemianinem. Gospodarstwo zadłużył ponad przyzwoitość. Mama długo próbowała majątek z tych długów wyciągać, w sumie nadaremnie, bo choć po reformie rolnej zwrócono jej jako administratorce część folwarku, to i tak kilka miesięcy później UB wyrzuciło nas z majątku na zbity pysk. UB nie lubiło „obszarników”, mama miała wilczy bilet na trzy powiaty. Ojciec – były żołnierz Armii Andersa – nie dostawał pracy. Przez przypadek spotkał na ulicy kolegę sprzed wojny, który umieścił go jako instruktora w szkole technicznej w Płocku. Dostaliśmy pozwolenie na zmianę miejsca zamieszkania i tak trafiłem do gimnazjum w Płocku.

Dziadek był zgorzkniały po wojnie?

Nie, raczej nie. Pamiętam go jako wesołego, pogodnego człowieka. To, co z perspektywy czasu podziwiam w nim najbardziej, to fakt, że przez całe życie, nie mając do czynienia z „wysoką” humanistyką, cytował z pamięci całe teksty po grecku. Łacina – to byłaby norma, bo aptekarz musiał jej używać, ale grekę zapamiętał ze szkoły. Podziwiałem go. Jakiś czas studiowałem zresztą klasykę.

¹ Szkoła Inżynierska imienia Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda w Warszawie, założona przez nich w 1895 roku; w 1951 roku włączona do Politechniki Warszawskiej.

² Feliks Grzymała (1872–1950), poseł na Sejm w latach 1930–1935. Por. B. Niemirka, *Powojenne losy ziemian z gminy Jabłonna Lacka*, [w:] *Dzieje wojenne i powojenne szlachty podlaskiej*, red. S. Kordaczuk. Muzeum Reionalne w Siedlcach, Siedlce 2009, s. 169–188.

³ Dorpat, dzisiaj Tartu w Estonii; słynie z uniwersytetu założonego w XVII wieku przez króla Szwecji Gustawa II Adolfa.

Mama agronomka, ojciec inżynier, zubożałe ziemiaństwo. Jak ma się do tego egiptologia?

No cóż, ojca właściwie nie było, dorastałem bez niego, bo najpierw był w Kozielsku, skąd w końcu trafił do Armii Andersa. Więc dorastałem bez ojca, zobaczyłem go po wojnie, dopiero w 1948 roku, kiedy wrócił z Zachodu. Może to przez jego nieobecność nie zostałem inżynierem. Natomiast jeśli chodzi o pytanie, co mnie pchnęło w taką, a nie inną stronę... Kiedy myślę o tym dzisiaj... Przeczytałem kiedyś Świącieckiego *Literaturę Wschodu*⁴. Był tom poświęcony Egiptowi i Babilonii. Na Uniwersytet szedłem na arabski – to był mój główny zamysł. Hieroglify to zupełnie przypadek...

Tak przypadkiem nauczył się pan znaczenia i czytania hieroglifów z różnych epok. Piękny przypadek.

Alfabet arabski poznałem w szkole. Pisałem pamiętnik – po polsku, tyle że alfabetem arabskim. Proszę sobie wyobrazić: w gimnazjum mieliśmy religię. Szkoła „Małachowianka” w Płocku (im. Małachowskiego; skądinąd najstarsza szkoła w Polsce!) miała opinię i papiery szkoły „reakcyjnej”. Ale religia była tam aż do jedynastej klasy (w drugiej podobnej szkole w Płocku – „Jagiellonce” – religii nie było). Ksiądz, który prowadził u nas zajęcia, kanonik, kiedyś przejąwszy jakiś liścik podawany na lekcji z ławki do ławki, oświadczył butnie, że wszystkie nasze szyfry – bo liściki były zwyczajowo szyfrowane – odczyta. No to zobaczmy! – powiedziałem sobie i zacząłem pisać arabskim alfabetem i właśnie „umownymi” hieroglifami. Taka wojna podjazdowa na szyfry z księdzem kanonikiem. I tak się chyba narodziła moja skłonność do odczytywania, do kombinowania i do nauki obcych alfabetów.

A potem studia...

Turkologia – tak to się wówczas nazywało na Uniwersytecie Warszawskim. Zakład Orientalistyki, kierunek turkologia. Dostać się tam to było nie byle co... Oczywiście za pierwszym razem w ogóle mnie nie przyjęto, bo byłem jednym z dwóch kandydatów, którzy wcześniej nie należeli do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), a opinia tej organizacji bardzo się liczyła. W dodatku pochodzenie miałem nie najlepsze, choć i tak mogło być gorzej: przez przypadek urodziłem się w Warszawie, a nie w majątku, więc miałem papier, że jestem z Mokotowa. Tylko chrzczony byłem w Jabłonce Lackiej. Ale „pochodziłem” z Warszawy na szczęście, inaczej niż na przykład mój wielki przyjaciel, hrabia (zabawnie to dzisiaj brzmi) Adam Skirmuntt, który miał pecha urodzić się w własnym majątku, tzn. majątku swojej

⁴ Chodzi o książkę Juliana Adolfa Świącieckiego *Historia literatury powszechnej w monografiach*, t. 1: *Historia literatury babilońsko-asyryjskiej i egipskiej*, Warszawa 1901.

rodziny na Polesiu... Miał wpisane w dokumentach „pochodzenie obszarnicze”. Nie przyjęto go przez to do gimnazjum.

Kusząca byłaby hipoteza, że pańskie zainteresowanie starożytnością i językami spoza Europy było rodzajem ucieczki od powojennej rzeczywistości, od tego, co działo się wokół: przejmowanie majątków, szarość, stalinizm... Ucieczka od codziennego konkretnego w odległą przeszłość...

Nie, nie sądzę, to musiało być prostsze. Pewnie miałem jakieś skłonności filologiczne po matce, bo ona – mimo że rolniczka – pisała wierszyki, układała teksty piosenek, interesowała się literaturą. Znała niemiecki (co ją zresztą uratowało z rąk gestapo). A! – to będzie dygresja: kiedyś kupiłem jej książkę o dialektach polskich. Wyczytała w niej, że Podlasie zachodnie to obszar mazurzenia i, praktycznie rzecz biorąc, dialekt podlaski nie istnieje. Strasznie się oburzyła! Nie dlatego, że była Podlasianką, bo nie była, ale dlatego, że znała z życia ten dialekt, którego istnienie zostało zakwestionowane. To skądinąd bardzo wyrazista, silna wymowa, ja poznam Podlasiaka po sposobie mówienia. Mama napisała wówczas czterdzieści opowiadań gwarą podlaską, ojciec nawet nagrał to na jakiś magnetofon, syn przegrał mi to nagranie na płytę CD. Całość była poprzedzona miniwykładem mamy o tym, jakie są zasady tego dialektu, że to bardziej oparte na akcencie niż słownictwie i tak dalej. Polemizowała z językoznawcami. Podsumowując, być może po mamie odziedziczyłem zainteresowanie filologią. Mam też trochę małych zdolności – powiedzmy – papuzich.

Papuzich? To znaczy?

Łatwo wychwytyuję i naśladowuję akcenty. Na studiach mieszkalem u kolegi – studenta sinologii. To był okres, kiedy trochę waletowałem w akademiku, trochę mieszkalem u ciotki, przemieszczałem też w różnych innych miejscach. Matka kolegi wyjechała, zostawiając mu mieszkanie przy Litewskiej, razem ze służącą i pianinem – to była bogata, jak na owe czasy, rodzina. Ten chłopak miał narzucony przez rodziców obowiązek ćwiczenia na pianinie półtorej godziny dziennie. Nadzorcą była ciocia, która dzwoniła co pewien czas, sprawdzając, czy ćwiczy. Najczęściej na niego nie trafiała, bo rzadko bywał w domu, muzyka nie była mu wtedy w głowie. Czasem trafiała na mnie. Ciocia ta pochodziła z Kresów. Pytała mnie, z tym pięknym kresowym zaśpiewem: „Niech mi pan powie, czy Walter aby na pewno ćwiczy?”. Odpowiadałem: „Ćwiczy, proszę pani, oczywiście, że sumiennie ćwiczy, regularnie, codziennie”. Po jednej czy drugiej rozmowie zorientowałem się, że też zaciągam, mówię z tym akcentem. I kiedyś ta pani zapytała mojego kolegi: „Słuchaj, co to za przemiły prawdziwy Kresowiak u ciebie mieszka?”. Słowem – byłem bardzo wiarygodny, miałem słuch do melodii języka. Ale to nie



Faras, stela kapłana Philotheosa w języku koptyjskim, fot. T. Biniewski, © Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW

jest jeszcze znajomość języka, choć przydaje się: w sudańskim dialekcie arabskiego chyba wszystko wymawiam dobrze.

Czy po rozpoczęciu studiów uznał pan, że tego właśnie oczekiwał?

No nie, nie. Było zupełnie inaczej... Zaczniemy od tego, że, jak wspomniałem, na turkologię się nie dostałem. Zabrakło miejsca. Za pochodzenie nie dostałem „punktów ujemnych”, bo miałem wpisane miejsce urodzenia „Warszawa Mokotów”, a rodzina była „inteligencją pracującą”. Nie należałem jednak do ZMP i to stanowiło już pewien problem. Organizacja wystawiała opinie, był 1954 rok, tuż po śmierci Stalina, jeszcze przed właściwą odwilżą... Egzamin zdałem, ale